



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KOBIĘTA

wobec rodziny męzowskiej.

Napisała

Wanda Podgórska.

Staropolskie, tradycyjne uczucie węzłów pokrewieństwa i poważanie związków rodzinnych z traci się coraz więcej w społeczeństwie naszym. Rozluźniają się pojęcia wzajemnych pod tym względem obowiązków, zgryźliwe zdanie francuzkiego pisarza, że „krewni to nieprzyjaciele, dani nam przez naturę” niejednokrotnie powtarzanem bywa—przez nasz sposób zachowania się w tych stosunkach. A przecież z dawnymi poglądami na rodzinę, niezaciśniętej do pojedynczej grupy: ojca, matki i dzieci, dobrze nam było, bo istniała jedna więcej siła, spajająca ludzi między sobą i przy uczuciu szerszej zskreślonego koła solidarności wzajemnej egoizm nie tak się w nas rozrastał i wyrabiał, jak dziś, gdy żyjemy w samolubnem odosobnieniu tylko dla siebie i dla tych już nam najbliższych, którzy są jakgdyby dalszym ciągiem *ja* naszego. Jednostka czuła się też mocniejszą, bo pewniejszą pomocy ludzkiej w chwilach niepowodzenia i pomoc tę obowiązkową świadczyło się innym. Jednem słowem: uczucie promieniło kręgiem szerszym, ogrzewano się przy większem ciepłem doznawanej życzliwości, przychylności ludzkiej i każdy pojedynczo stawał się przez serce lepszym, przez serce szczęśliwszym.

Znaczna część winy w zniweczeniu tego poczciwego obyczaju przypada na dział kobiety. Za-

myka się ona tak w miłości męża i dzieci, że uczucie tej wyłączności góruje w niej nad wszystkim innym, i miesza się nawet z pewnego rodzaju zazdrośnem czuwaniem, aby jej ukochani oddawali jej nawzajem cały skarb uczuć swoich: miłość niedzieloną z nikim. Chce posiadać drogę sobie serca na wyłączną swą własność i można powiedzieć, że broni do nich przystępu przyjaźni, przywiązaniu rodzinnemu. Jeżeli męzczyzna nie ma wyższej siły charakteru, jeżeli mąż kocha żonę w sposób miękki—„do słabości,” lub też zajęty szerszymi sprawami życia, nie stawia oporu wywieranym na niego wpływom drobnych, lecz nieustannych oddziaływań, to dopina ona celu; czy przecież zysk to jest lub strata dla niej i dla tego, tak zazdrośnie, miłowanego męża?

Że obniżyła poziom jego uczuciowości, że życiu jego odejęła wiele słodczy, że uczyniła go gorzszym przez krótką pamięć serca, może niewdzięcznym—złym dłużnikiem, który nie oddaje tego, co brał kiedyś w skarbach przywiązania rodzinnego—to już jest pewnością i trzeba też zapytać, dla czego tak się dzieje? Czyż miłość dla żony i dzieci zmniejszyłaby się przez przywiązanie do tych, których kocha się zawsze inaczej, wtedy nawet, gdy kocha się bardzo mocno? Przeciwnie, serce im więcej kocha, tem więcej siły miłosnej z siebie wydobywa, bo tem tkliwsze jest, ciepłjsze, uzdolnione do uczuciowości głębszej żywoniejszej i owe ewangeliczne przyrzeczenie: „im więcej posiadacie, tem więcej danem wam będzie...” zdaje się tu odnosić. Żona też, która chce wygluzować z serca męża wszystkie przywiązania dawniejsze, pracuje przeciw sobie, bo doprowadza do stwardnienia, do zakamienienia to serce, którego tkliwość miłosna jest szczęściem jej życia.

Ale niekażda to rozumie, a nawet rzadko która chce rozumieć i od pierwszego dnia po ślubie usiłuje odgraniczać męża od jego rodziny i przyjaciół dawnych, stawia między nim a nimi zapo-

ry wszelkiego rodzaju. przyczem nieraz staje się nieuczciwą ta nawet, która we wszelkich innych stosunkach pragnie być i jest szlachetną. Tu przecież zdaje jej się, że jest w prawie swoim, że broni własności swojej i zwycięstwo, w prowadzonej o to walce, jest dla niej z jednej strony jakoby punktem honoru, z drugiej dowodem tej rzeczy słodkiej, że jest kochaną nad wszystko!

„Nad wszystko” nie godzi się kochać nikogo, żadnej istoty ludzkiej i żona, żywiąca takie pragnienia, usiłująca je przeprowadzić, popełnia rzecz pod każdym względem nieprawą i małą godziwą. Nie tylko uboży ona serce męzowskie o wszystkich zabitych uczuć pożytki i siły, wydzierając z piersi męża jedną uczciwą zdolność kochania, znieczulając jeden jego nerw serdeczny, zrywa w gammie jego uczuć strunę, potrzebną przecież do tej doskonałej harmonii, która dopiero może dać człowiekowi całość szczęścia i całość cnoty. Inaczej staje się już na moralnej jego istocie skaza—ciąży na nim zarzut niedokonywania pewnych obowiązków, niedotrzymania pewnych obietnic.

Nieraz mąż czuje to, widzi, rozumie. Jakkolwiek nie miał siły oprzeć się: czy przez miękkość, lub znużenie w walce ciągłej z drogą mu towarzyszką jego życia, czy może nie dostrzegając dość wyraźnie tych milczkiem dokonywanych manewrów, zwłaszcza wtedy, jeżeli sam będąc wyższej, podnioslejszej natury, nie zdołał dopatrzeć się niskich i maluczkich podstępów, którym uległ—jednak odczuwa boleśnie skutek, jaki z tego nastąpił.

Cierpi, że został niejako odcięty od słodkich wspomnień przeszłości, że wzięła ona z nim rozbrat przez tych, którzy z nim ją dzielili w nadziejach, pożądaniach—w złudzeniach jego młodych...

Żal mu jest tego nieraz—nieraz ucuwa w sercu tęsknotę za owym wydartym mu skarbem, który choć pozostał w tyle, jednak należał jesz-

cze do niego i mógł ubogacać mu życie dzisiejsze. Młodość ma w historii każdego ludzkiego istnienia wielkie znaczenie swoje, bo tam-to zwykle mieszczą się najszlachetniejsze serca porywy, najpiękniejsze uniesienia zapału, poezji i idealnych rojeń. Jeżeli między tą wiosną życia, zdobną owemi wonnymi kwiatami uczuć, a wiekiem dojrzałym nie nastąpiło jakieś zerwanie stanowcze, odcięcie doszczętne, człowiek szuka nieraz we wspomnieniach, jeszcze odtąd w nim żyjących reakcyi przeciw wpływom bardziej realnego życia i tej pracy na chleb, która odbiega daleko od założeń ambicyi młodej. I jest mu z tem dobrze, bo nie rzadko broni to człowieka od takiego zatonięcia w powszedniości, od takiego stanu, aby był według słów naszego poety (Mickiewicza), jak „te konchy co się w bagnie tają.“ Jeżeli nawet siła mocniejszego ducha nie da mu zstępować tak nisko, nie pozwoli na zaparcie się młodych ideałów, zawsze traci on niezmiernie wiele na odcięciu się od rodziny, czego przecież pragnie przez miłość niby, większość żon, i tak gorliwie nad tem pracują, takie światło ciskają na rodzinne wspomnienia męża, aż mu zmieniają je w obrazach zamglonych wspomnień.

Cóż przecież zyskują na tem? Człowiek niełatwo od ukochań dawnych się odwraca, a nigdy nie traci ich bez żalu i walki, a gdy to nastąpi, w sercu wytwarza się niczem niezapełniona pustka, która bolesną jest, jak rana. Gdy nawet przestaje się kochać tych, których obdarto nam z uroku, niemniej tęskni się za tem, co straconem zostało a co zastąpionem być nie może przez nic innego, i ten, co tego dokonał, źle sobie z nami postąpił. Bracia, siostry—to najpierwi przytoczcie nasi, najpierwi ludzie, jakich znać było nam danem; towarzysze najszczęśliwszych chwil życia, powiernicy trosk i wzruszeń młodzieńczych. Tysiące nici łączyło nas z nimi przez lata całe: to też każda myśl wstecz posłana, wywołuje nam przed oczy drogie ich postacie i zniechęca do nich człowieka, to odjąć mu urok wspomnień dawnych, zaćmić jasną jego przeszłość, pozabawić rzeczy najmiłszych.

A trzeba jeszcze dodać, wracając do założenia pierwszego, że różniąc męża z rodziną jego, żona nie tylko wyrządza mu krzywdę serdeczną, ale osłabia go, rozrywając węzły przyjaźni najdoskonalszej, jaka na ziemi istnieć może. Czyż przyjaźń pomiędzy braćmi nie byłaby związkiem najsiłniejszym, najidealniejszym? Wspólność wychowania, tradycyi rodzinnych, nawet siła wspólnych pierwiastków, krążących w ich krwi odziedziczonych po ojcach i dziadach, to wszystko zbliżać i spójnić duchową wzmacniać powinno. Człowiek jest tem mocniejszy, im więcej istot pokrewnych ma za sobą. Im więcej ludzi dąży z nim razem do wspólnego celu, tem pewniejszy jest zwycięstwa i znacznie lżej byłoby na świecie, gdybysmy tak gromadkami całemi szli przez życie, nie rozpryskując się na pojedyncze jednostki.

Potrzeba mu przyjaciół w każdym położeniu, na każdym stanowisku i rozgląda się on za nimi po świecie, szuka daleko, pomijając blizkich, z którymi byłoby mu najlepiej, bo najwierniejszymi by być mogli, a jednak coraz tego mniej na świecie i już doszliśmy do takiego oziębienia stosunków między rodzeństwem, skoro raz rozejdzie się ono z rodzicielskiego domu, że uważamy miłość braterską za jakąś cnotę, podoba nam się nawet ona, ale staje się coraz większą rzadkością, choć widzimy wyraźne korzyści związku takiego, przy którym już się tak prędko nie upada, w dół się nie stacza, gdy siła ramion bratnich podtrzymuje nas wzajemnie i napowrót stawia w szeregu. Wtedy sierota bez opieki nie zostaje, wdowa znajduje radę i pomoc, starość zabezpieczenie spokoju. I przeciw takiej—to spójni, w skutkach swych doniosłej i dobrej, żona najczęściej walczy całą siłą swej potęgi nad kochającym sercem męża. Czy nigdy nie przyjdzie jej na myśl, że rozrywa węzeł zadziernięty przez naturę, że prawa braci i siostr są podobnie, jak jej miłość, świętymi prawami uczucia—może idealniejszymi niż wiele innych?

Walka ta nieprawda i nierozsądna, gdy idzie o rodzeństwo, staje się grzeszną i karygodną, skoro podnosi się przeciw przywiązaniu synow-

skiemu, matka skoro żona usiłuje je osłabić na własną korzyść, jak mniema. Nie, korzyści tej nie otrzymuje, i może tylko być to pewnem zadowoleniem miłości własnej na bieżącą chwilę odniesionego tryumfu, bo wtedy nawet, gdyby świekra o miłość syna zazdrosna także, co się nieraz zdarza, dokuczliwą była dla niej i mało sprawiedliwą, nie godzi jej się walczyć z nią bronią niedobłą i powiedzieć można niegodną, a nie losu jej nie polepszającą. Jakież to człowiek wyrzecz się matki, choćby nawet dla żony? Ale każdy mąż rozumny silniej żonę ukocha, gdy widzi, że łagodnie i z uczuciem przyjętego obowiązku córki, niesprawiedliwość matki jego znosi, bo musi w tem uznać wielką miłość dla siebie, co też odwzajemnionem uczuciem zwiększonego przywiązania jej płaci.

Inaczej prawie tu być nie może, bo taki skutek rzeczy leży w naturze tych stosunków, które przecież mają jedną jeszcze i ważną stronę swoją. Dzieci patrzą na to, co się pod ich oczyma dzieje i sądzą już wtedy nawet, gdy starsi nie przypuszczają, aby to być mogło, a w każdym razie zapamiętują to sobie i kiedyś sądzić będą. Jeżeli matka ukaże im się na tle przeszłości szlachetną w obowiązków swych pełnieniu, sercem dobrą, raczej, krzywdę znoszącą, niżeli wyrządzającą—o!.. miłość ich wtedy spotęguje się, złączy się z wyższego szacunku uczuciem, z czcią dla jej charakteru i znowu znajdzie ona zapłatę swoje w zwiększonym zasobie pozyskanej miłości drogiej jej istot.

Jeżeli przecież będzie inaczej, smutną gotuje sobie dolę, bo własny jej przykład nauczy jej syna, aby kiedyś w domu jego dobrze i miło jej nie było, aby ją odtrącano bezkarnie od jego serca—aby go tak dla uczuć swoich straciła nieśczęśliwie, jak kiedyś stało się to za jej sprawą z matką inną—którą ona obrała z ostatnich pociech starości.

Wystawa w Muzeum Przemysłowem.

Wystawa odzieży i sprzętów domowych urządzona staraniem Muzeum Przemysłowego, jest mniej okazałą, mniej liczną, niż się spodziewać było można. Okazy, nadsyłane na wystawę, są z natury rzeczy, jakgdyby próbami tego, co pracownia wystawcy najlepszemu wydać może, więc bywają to zwykle przedmioty najdoskonalej, najkunsztowniejsze wykonane, zatem i ceny ich muszą być stosunkowo wysokie. W czasach, gdy stan ekonomiczny kraju pomyślnym nie jest, wystawcy w zakresie przemysłu większego, nie mogą liczyć na zbyt pewny okazów, z konieczności kosztowniejszych, nie wzięli w wystawie takiego udziału, któryby mógł dać prawdziwy obraz przemysłu naszego.

Wystawców jest 200, a w tej liczbie niemal połowa kobiet. Ponieważ przedmiotem wystawy jest odzież i sprzęt domowego użytku, co w bardzo szerokim zastosowaniu przypada na dział pracy kobiecej, równowaga jest zatem taka, jak należy. Zastanawia tu przecież rzecz bardzo ważna: ozdobność, wytworność, galanterya, goruże. Przemysł kobiecy w swym więcej użytecznościowem, poważniejszym zastosowaniu—taki, któryby coś stanowił w ogólnym przemyśle kraju, nie daje prawie znaku o sobie, braknie go szczególnie przez mały udział wsi. Że nie można tu obwiniać kobiety włóścianki, bo ta przypuszczalnie nic nie wie, czy wystawa jakaś gdzie jest, czy ona powinna i może brać w niej udział, zatem trzeba zwrócić się ze skargą na obojętność do wiejskiej kobiety z klas inteligentnych, do pań i panien z dworu. Niema na wystawie ani kawałka płótna domowego wyrobu, nie byłoby wcale za staraniem kobiety przedstawionych okazów ręcznego tkactwa, gdyby nie jedna jedyna w tym kierunku wystawczyni, p. Józefa Barszczewska z Drohiczyzna, (pow. Bielski), która przysłała na wystawę dwa przedmioty własnego wyrobu: wełniany dywanik i szal, wełniany rów-

niez—rzeczy wyborne do częstego domowego użytku.

Hr. Stanisław Zamojski, ze swoją zwykłą poczciwą chęcią służenia krajowi, jak można nadesłał również podobne okazy tkactwa domowego włóścianek z okolic Maciejowic—wyroby doskonałe, jako trwałość i stosunkowo gustowne. Jest tam bardzo ładny fartuch, a raczej, jak mówią w okolicach, gdzie to wyrobiono, zapaska, co i milej brzmi dla ucha i jest lepiej po polsku—w prążki czarne i czerwone. Jest kilka sztuczek podobnych w pasy, w kraty, z prostej wełny ostrej, wszystko bardzo ładne, szczególnie w odmianach czarnego z białym—rzeczy niezmiernie cennie, prawie niezdarne, doskonale przypadające na ubrania chłopców, na kurtki, na zakłady, w których można się swobodnie z towarzyszami pasować, grać w piłkę, jeździć konno, biegać po polach i lasach, bez obawy zniszczenia sukni. Matki nie elegantki mogłyby i w mieście tych materiałów na ubrania synów używać, nawet i dla dziewcząt na domową trwałą suknię, na płaszczyki i kaftaniki—wyrób to wyborny. Korty angielskie z ostrej wełny australijskiej są prawie takiesame, a te zaleca taniósć, stosunkowo wielka i to—że nasze, że z Maciejowic. Za suknią możeby przysłała chęć nauczenia się jednej karty geografii krajowej, a z nią i karty historii, coś o Kościuszcze, coś o Niemcewiczu. A podobno to Niemcewicz właśnie napisał bajkę o pomarańczy i jabłku. Pomarańcza była wonna, soczysta, rozpyłująca się w ustach, ale jabłko pochodziło „z własnego ogrodu“ i odniosło zwycięstwo. Idealne to były czasy, kiedy pisano ludziom takie—bajki ekonomiczne.

P. Julia Nakielska ze wsi Kossowo przedstawiła estetyczną stronę pracy kobiety wieśniaczki: dwa fartuchy, ozdobione bardzo kunsztownym haftem ręcznym, kolorowym. I w tym dziale wystawczyni to jedna tylko, a przecież prócz haftu i wyszywania kolorowego w okolicach wschodnio-północnych, w całym Krakowskiem i w części Sandomierskiego kobiety włóścianki hafty noszą i haftują nieraz bardzo miśternie rogi białych chustek, zawiązywanych na głowach, posługując się ścięciem atłaskowym i tak zwanym angielskim. W Krakowskiem w okolicach Miechowa i dalej, ku Szkalmierzowi, bywają noszone także chustki tiulowe bardzo kunsztownie haftowane ścięciem cerowanym. Hafciarki wiejskie przy bardzo ograniczonej liczbie posiadanych wzorów, urozmaicają je sobie same, mieszając i tworząc z danych, które posiadają, kompozycje nowe, własnego układu i rysunku. Prof. Pleniewicz, przebywając w okolicach Ojcowa, spotkał się z takimi hafciarkami wiejskimi i widział, jak bez żadnych wskazówek, bez żadnej pomocy estetycznej radziły sobie, pracując za bardzo małym wynagrodzeniem, na wpół darmo, bo wyroby ich znajdowały zbyt tylko pomiędzy okolicznym ludem wiejskim. Uderzony ich zręcznością i dobrym smakiem, uzalając się trudu tak nisko wynagrodzonego, zebrał robót ich próbki, przywiózł do Warszawy i podniósł w pismach za temi biednymi robotnicami głos—który przebrzmiał bez skutku. Pisał o tem i w piśmie naszym; złożył w redakcyi próbkę, przekonywającą o ile słuszność jest po jego stronie, gdy żąda, aby kobieta z klas zamożnych wzięła w opiekuncze dłonie ten przemysł domorosły, podniosła go, wykształciła, czyniąc kunsztowniejszym pod względem wzorów i miśterności wykonania. Ale nikt nie podniósł wezwania, nikt nie zażądał widzenia próbek, a nawet ledwo oglądał pokazywane gwałtem!

Że u nas wchodzi ilość znaczna haftu zagranicznego, tak maszynowego jak ręcznego, z Saxonii, z Czech, z Austrii—jest to rzeczą wiadomą, a przecież są gotowe siły nasze, któreby mogły skutecznie przeciwstawić się temu i zatrzymać w kraju grosz, uciekający tą drogą. Trzeba przecież, aby ktoś, natchniony razem obywatelską i filantropijną myślą, zorganizował ten przemysł domowy—trzeba, aby ktos podał mu rękę!

Panie wiejskie z okolic, gdzie przemysł ten istnieje, powinny—kłaść nacisk na ten wyraz—poczuwać się do tego choć obowiązku, aby w razie wystaw, uwiadomić o nich hafciarki, dać coś

rad i wskazówek, dać trochę wzorów, boć przecież już od wieków rysunek wchodzi u nas w dział edukacji kobiecej, podniesionej o jeden tylko stopień nad elementarną. Przytem, każdy, kto tylko pisać umie, posiada już o tyle wprawę ręki, że może za pomocą kalki odtworzyć wzory, brane z dodatku gospodarskiego pism dla kobiet przeznaczonych i zabrawszy się też do tej bardzo już lekkiej i bynajmniej nie przykłej pracy, poświęcając jej dzień, pół dnia nawet, wygotować kilka dobrych, estetycznie ładnych wzorów, a dalej udzielić ich hafciarkom wiejskim, objaśniając o celu ich użytkowania. Potem jeszcze kilka, kilkanaście słów objaśnienia, jak to i kiedy do Warszawy wysłać należy, a co najwięcej już zaadresowanie przesyłki—i spełniłby się uczynek obywatelski, bo kto wie, czy-by się nie znalazł jaki przemysłowiec dobrej woli, któryby powziął myśl użytkowania krajowego przemysłu tej pracy wieśniaczej—czyby się nie znalazła jaka szlachetna dusza kobieca, która dokonałaby w tym kierunku tego, co zacna p. Helena Gabryel uczyniła dla koronkarstwa naszego?

Może nie brakłoby dobrej chęci, gdyby była myśl zwrócona w kierunku wyższych interesów dobra ogólnego. Uczucie, myśl taką pobudzające, istnieje niewątpliwie, ale snadź w stanie biernym, i nie szuka sobie dróg użytkowania dla celu swego bieżących spraw życia, nie zdobywa się w tym kierunku na inicjatywę, nie rozumie chwili swego czasu—nie rozumie, nie domyśla się ogromnego znaczenia tych, pod ręką naszą znajdujących się jeszcze materiałów surowych, z których możnaby zbudować znakomite dzieło użyteczności publicznej, gdyby... gdyby jakaś niemoc apatyczna nie zleniwiała myśli...

Ciąży przytem na tej myśli, na uczuciu nawet, zaściankowość i takie ograniczenie zdolności patrzenia, że wzrok nie ogarnia już przestrzeni szerszych, gdzieby widział przedmioty w świetle prawdziwym i w liczbie ich większej—w znaczeniu, jakie im ilość ta nadaje. Nasza wieś, nasza parafia, przed oczyma jedynie nam stojąca, wyrabia w nas krótkowidztwo, małowidztwo, niskowidztwo! Poza tą wsią, poza parafią, jest obszar zowiący się krajem; poza chatą, jedną i drugą, oraz znaną nam jej mieszkanką Wojciechową i córką jej Kasią—poza Stachem i Jasiem—jest lud wiejski, i wedle tej-to skali należy myśli naszej pojmować znaczenie rzeczy i ich stosunek do nas. Ale my, ze wzgórką naszego położenia względem wsi, patrzymy obojętnie na ową Kasię i Wojciechową obrządzające się u siebie, jak Bóg da. Ta Kasia hafciarka, to dziewczyna, która, będąc mniejszą, pasła gęsi, a teraz zarabia sobie parę groszy, haftując zamowniejszym gospodyniom chustki odświętne i nie przychodzi nam do głowy, że ta Kasia, to jedna siła w naszym przemyśle wiejskim, samorodnie się krzepiącym do czynu, który przy odpowiednim poparciu zyskałaby sobie takie miejsce w ogólnej produkcji naszej, że wypchnąłby towar wchodowy i zatamował jedno źródło, którem odpływa za granicę grosz naszego ubóstwa.

Wprawdzie przesilenie ekonomiczne, jakie przechodzi u nas własność większa, i troski, które skutek tego spadają na dwory, oddziałują gniebiąco, więc wyrabiać mogą usposobienie apatyczne; ale od czegoż jest energia i siła ducha? Poczucie obowiązku nie może zniknąć w złych czasach, bo cóżby się wtedy stało ze społeczeństwem? Obok zubożenia materialnego przyszłoby zubożenie moralne, nastąpiłby zatem upadek już ostateczny, a w takich-to chwilach właśnie szukać trzeba możliwego przeciwstawienia się biedzie, która na nas następuje i czas, który zabierało nam dotąd szerzej prowadzone życie towarzyskie, przyjacielskie stosunki z sąsiadami dalszymi nieco, niech choć w części jakiejś poświęcony zostanie sąsiadom bliższym. Są to najbliżej nas postawieni ludzie; gdyby żywsze uczucie ludzkości poruszyło nam się w sercu, złe czasy przeszłyby może wierzchem tylko, jak ten grad z przeciągającej chmury, i nie zbiłyby na łące całkowitej żniw nadziei!

Brak wyrobów wiejskiego przemysłu na wystawie—uderza. Że zaś ta wystawa zwraca się silnie przez założenie swoje w kierunku pracy

kobiecej, jest to zatem brak okazów przemysłu kobiecego. Ponieważ niedawna wystawa nasion wypadła bardzo pomyślnie, więc nie ogólny to niedobór czynnego ruchu wsi, nie ogólny jej zastój, lecz częściowy tylko ze strony pracy kobiecej.

Jedwabnictwo ma wystawczyń dwie, z jednego przecież dworu, z rodziny jednej, więc uważać to trzeba jedynie jako podział pracy, pełniący się u jednego ogniska domowego. Wystawczyni te są:

P. Justyna Błociszewska z Olszewnicy, wystawiła jedwab' przedzony przez nią i kręcony na prostym, zwykłym kołowrotku, za który to przemysł najzupełniej domowy, a jednak bardzo zadawalniający, pani ta otrzymała medal złoty na wystawie pracy kobiet, także w Muzeum Przemysłowem, 1877 roku, list pochwalny na wystawie tkackiej, również w Muzeum 1880 r., medal srebrny na wystawie rolniczo-przemysłowej w 1885 r.

Panna Marya Błociszewska wystawiła koronki, wyrabiane z tegoż, w domu wyprodukowanego jedwabiu, którego wystawcą jest pan Alexander Błociszewski. Jest to niewymownie miły obraz takiej pracowitej wspólki rodzinnej: męża, żony i córki—coś wzbudzającego szacunek i niemal wdzięczność za pocieszające wrażenie, jakie wywiera taki związek, takie w pracy zjednoczenie sił, które za wzór stawianem być może. Szkoda wielka, że katalog wystawy nie podaje jakie tu są pomocnicze siły robocze, jaki obrót wydawanego na produkcję kapitału i ostatecznie dochód czysty? Że dochód ten jest, wiemy to, bo wiemy, że jedwab' z Olszewnicy znajduje sobie zbyt w Warszawie.

Zadziwiać może, że niema więcej wystawczyń jedwabiu krajowego, choćby tylko w kokonach, choćby we włóknie nie kręconem, bo teraz to właśnie, kiedy przy trudnych dla gospodarstwa rolnego warunkach, dochody rodzin ziemiańskich zmniejszyły się niezmiernie w tym kierunku, mogłaby kobieta stworzyć sobie źródło dochodu, choćby przy pracy na małą skalę, tylko na pokrycie osobistych jej potrzeb starczącego. Kapitał zakładowy jest tu tak mały, że go ledwie liczyć można, praca krótka, bo tylko sześć tygodni trwająca, i od chwili gdy niezamordowany i w kierunku rozpowszechniania tej pracy wysoce zasłużony pan Adolf Bogucki ogłosił, co i pismo nasze powtórzyło, że kokony nadsyłane mu, zawsze nabywa, jeżeli tylko są w stanie niezniszczonym i do użytku zdatnym, już dochód z jedwabnictwa jest najzupełniej pewnym i rzecz cała zasada się na posiadaniu morwy, którą wychodować nie trudno, zwłaszcza że p. Bogucki ze szkółki swojej drzewka: żądającym tego chętnie zbywa. Był wprawdzie czas wychodować je z nasienia, był czas mieć już ich gaje całe w sadach i ogrodach wyrosłe, bo nie od dziś podnoszą się o to głosy nawoływania—daremnego! Mieć tych drzew kilka, a stanowiąc to już może dochodzik taki, że utrzymanie córki ciężkiej rodzinie nie będzie. I dokonać tego jest zdolną osobą najdelikatniejszą, z pomocą jednej dziewczyny, któraby liście z drzewa cięła, co zabiera parę godzin czasu wczesnym porankiem. Warsztat pracy — to także jedna izba, dostatecznie przewiewna, jeden pokój na czas sześciotygodniowy zajęty — przypuśćmy gościnnie, z którego dzisiejsze życie okoliczności miejsce pracy zrobić nakazują — i już wszystko!

A przecież jedna tylko rodzina pracowite wystawczyni tej pracy przysłała!

Pan Bogucki, obok okazów, które same są już dowodem, że hodowla jedwabnictwa jest u nas najzupełniej możliwa i nie należy bynajmniej do dziedziny mytów, udziela pragnącym tego, wszelkich możliwych wskazówek, wszelkich z najlepszą wolą dawanych rad i objaśnień. Broszury jego, pisane na zasadzie wieloletniego doświadczenia w hodowli jedwabników, znajdują się na wystawie, obok licznych okazów przerobionego już jedwabiu we własnym też jego zakładzie wykonanych. Kto się chce przekonać co jedwabnictwo u nas wydać może, niech okazy te obejrzy. Zakład przemysłowy przerobu jedwabiu p. Boguckiego mieści się w willi Bogucin, we wsi Siedlce pod Warszawą (gmina Mokotów) zatrud-

dnia 10 robotników. Że zakład jedwab' surowy nabywa, zapewnia to zbyt jedwabniczej hodowli wiejskiej, na najmniejszą choćby skalę prowadzonej. Prawdziwie smutno jest pomyśleć, że źródło dochodu tak łatwe, praca przypadająca najdoskonalej na dział kobiety z rodzin ziemiańskich, nieoddalająca jej od ogniska domowego, niewyrzucająca na niepewne istnienie pracownicy samotnej, oderwanej od pnia swego—tak nie zakorzeniła się u nas!!

(Dokończenie nastąpi)

Ach jak mi smutno!...

Ach! jak mi smutno, że niebo jesieni
Zaciąga chmury czarnemi,
Że się już żaden listek nie zieleni
Na biednej, zdrętwiałej ziemi...
Ach! jak mi smutno, że z piersi człowieka
Uchodzi miłość i wiara,
Anioł nadziei do niebios ucieka
I pęka poezji czara...
Ach! jak mi smutno... ale, serce moje,
Czyż w smutku twym nie tkwi twa siła?...
Nie spyta-ż ludzkość, kędy są te zdroje,
Z których ukrzepienie piła?...
Gdzie są te jasne blaski ideału,
Co ziemskie złościły życie?
Te uniesienia młodego zapału,
Serc męzkich szlachetne bicie,
Przez które mędrzec wyciąga ramiona,
Chwyta cień Bóstwa odbity—
Sokrates pije truciznę, i kona,
Patrząc w niebiosów błękity...
Na Termopilach pełni się ofiara:
Za Grecyą syny jej giną,
Wielkości ludzkiej w górę rośnie miara,
Połbóg jest pod Salaminą!
Wieszcz palce spuszcza na lirę, opiewa
Dzieje poświęceń i cnoty...

Gdzie jest poezji iskra co zagrzewa?
Gdzie skrzydła są jej tęsknoty?
Na które brała biedne ludzkie duchy,
Niosła nad srebrnych gwiazd koła?
O serce moje! niech twój smutek głuchy
Drgnie, jęknie—niechaj zawoła,
Że człowiek musi zdobyć szersze szranki,
Niżli bój, o byt toczony;
Że tęskni do swej niebiańskiej kochanki,
Do tej Psyche uskrzydłonej,
Co się schylając do niego zwysoka,
Całunki na usta kładła.
Cień ją czarnego zasłonił obłoka,
Czarowna postać jej zbladła...]
Lecz ty ją zaklnij, ażeby wróciła
I nie odbiegła już więcej,
W piersi ludzkości bije inna siła,
Niżeli instynkt zwierzęcy...
I jej przeznaczeń górniesza jest droga
Ponad nicości otchłania;
W górze nad sobą widzi oko Boga
Z błękitu patrzące na nią!

M. I.

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Widział się z dłutem w ręku przy środkowej grupie; stał i wpatrywał się w swoje dzieło z tamsamem uczuciem, z jakim wówczas na jawie przyglądał się twarzyczce dziecięcia. szarpający wewnątrz myślą o tem fatalnem podobieństwie, które tak skwapliwie starał się zatrzeć w kamiennych rysach...

Teraz śniło mu się, że zrozpaczony stoi nad własnym swoim dziełem, i że kamień martwy urąga wszystkim jego wysiłkom; rysów tych zmienić nie może, marmur, jakby zaklęty, nie chce poddać się ostrzu dłuta; ciągle tasama twarz, twarz Stefanka, wygląda do niego a Anioł zdaje się szeptać:

— „Cicho, cicho, ono śpi, śpi już na wieki!”

I w szalonej rozpaczycy ręka podnosi młot, jak wówczas na jawie, podnosi z ogromną siłą, aby zniszczyć złowrogie dzieło, które się pastwi nad zboliałem sercem ojca i uderza w marmurowe ciało... Wtem, na białem czółku dziecka czerwone plamy występują, krew tryska w twarz artysty i z kamienia długi, przeciągły, bolesny jęk słyszeć się daje...

Pod wrażeniem snu tego Filip zerwał się na równe nogi, błędnem okiem potoczył wkoło i zaczął zbierać rozproszone myśli.

W pokoju było ciemno i cicho, zegarek tylko tykotał na biurku i wskazywał drugą nad ranem nocną lampka rzucała krąg bladego światła. Wszyscy spali, ujęci głębokim snem znużenia i wyčerpania po tylu nocach spędzonych przy chorem dziecku.

Filip wsłuchiwał się chwil kilka w tę ciszę, siłając się usłyszeć oddech Stefanka; wziął ostrożnie lampę z biurka i zasłaniając ją ręką, by blaskiem nie obudzić małego, cichutko, na palcach skradać się zaczął ku łóżeczku.

Chciał zobaczyć, czy dziecie nie potrzebuje czego.

— Jakoś ma sen spokojniejszy — myślał sobie biedny ojciec, złudzony tą ciszą.

Stefanek leżał na wznak, nieruchomy, odkryty do połowy, piąstki zacisnięte konwulsyjnie trzymał na piersi, twarzyczkę miał zmienioną, usteczka otwarte...

Filip, przeczuć jakims tknięty, schylił się nad nim, poświecił mu w oczki i wzdrzgnął się na ten widok; oczy dziecka były bielmem powleczone.

Śmierć przyszła niepostrzeżona, korzystając ze snu wszystkich, którzy czuwać mieli nad Stefanem, i zabrała swoją ofiarę.

Brzęk stłuczonej lampki, wypuszczonej z rąk Filipa i łoskot upadającego ciała na podłogę obudził śpiących; tylko Stefanek nie zwrócił już oczu ku złamanemu bólem ojcu, który bez zmysłów padł przy trupie swojego dziecka.

VII.

Es is eine alte Geschichte
Und bleibt doch ewig neu...
Heine.

VIII.

I znowu przyszła wiosna, podobna do ostatniej i do tysiąca innych, które ziemię umiały przed nią po to, aby jesień miała co zdzierać, rozprasać i grzebać.

Rok minął na zegarze świata, jak godzina, która po raz drugi nie uderzy więcej.

W dziejach serc ludzkich ta godzina bywa wiekiem niekiedy, a wiek ten cały daje się potem streścić w jednym jakimś wyrazie, co brzmi, jak logarytm z długiej liczby życia.

Któż z gości księżnej Jadwigi, zgromadzonych na świetnym raucie wielkopostnym w jej salonach rozważał głębiej znaczenie tych dwóch wyrazów, jakie padły z ust dostojnej gospodyni podczas rozmowy z sąsiadką.

Słowa te były odpowiedzią dość obojętną na pytanie:

— Co się też stało z panią i panem Morelli, których przed kilkoma laty widywałam na zebraniach u księżny?

— Rozeszli się.

— Czy być może?... i dawno?

— Podobno kilka miesięcy temu.

— I z jakiego powodu?..

— Przyznam się pani, że nie badała bliżej tego faktu; doszło mnie tylko echo jego. Kiedy się małżeństwo rozchodzi, nie muszą to być dla nas zajmujące szczegóły.

— Czyżby z winy jej?..

— Nie wiem, droga pani.

I księżna, sznurując usta, urwała z widoczną intencją zakończenia rozmowy o drażliwej sprawie; nie chciała zastanawiać się nad tematem, który jej moralne uszy gorszył tembardziej, że dotyczył małżeństwa, co miało zaszczyt kiedyś kojarzyć się w jej arystokratycznym salonie.

Dosyć, że wieść o samym wypadku przedostała się aż tutaj, gdzie takimi mieszczkańskimi plotkami nie zajmowano sobie czasu.

Natomiast w mniej dystygowanych sferach towarzystwa przez kilka tygodni zimowego sezonu mówiono z większym zajęciem i większą swobodą o rozejściu się państwa Morelli i dodawano najrozmaitsze komentarze do tej nowiny.

Dla wielu nie była ona niespodzianką; dziwiono się, że tak piękna kobieta tak długo wytrzymała przy mężu, który ją podobno tyranił, z którym znosić musiała istne piekło; utrzymywano teraz, że ten mezalians zadługo trwał i podziwiano cierpliwość ofiary w małżeńskim jarzmie.

Helena nabrała niemal bohaterskości jakiejś w oczach opinii tego świata, który sądzi wszystko z pozorów i daje się kierować, jak ślepy, samemu głosowi.

Słuchano jedynie szczegółów, dostarczanych przez jedną stronę; słuchano, co mówiła w dykretnem kółku wobec najzaufanych przyjaciół rodzina pani Filipowej, a ta w najgłębszym przekonaniu całą odpowiedzialność składała na człowieka, który nie umiał i nie chciał uszczęśliwić żony, tak miłej, tak pięknej, tak dobrze wychowanej i gotowej do tylu poświęceń.

— Musiałam mu odebrać moją córkę — mówiła Okulska tonem zrezygnowanej i do ostateczności doprowadzonej matki — dopóki żyło dziecko, rozdział był trudny, ale skoro się Bogu podobało samemu rozciąć ten jedyny węzeł, nie mogłam patrzeć dłużej na niewolę Helusi. Biedaczka byłaby się zamęczyła z człowiekiem, który jej ani ocenić ani pojąć nie potrafił. O, pomylił się bardzo, bardzo, — okropnie!..

Coś, niby wzruszenie, drgało w jej głosie, a pogodna zawsze i uśmiechnięta twarz usiłowała nabrać wyrazu smutku i melancholii, niezręcznie, bo nieszczerze, wywoływanej.

Przymykała oczy, głowę pochylała nieco ku ziemi i stłumionem westchnieniem kończyła rozmowę bolesna matka trzech najpiękniejszych córek w całym mieście.

Nie było komu prostować, ani objaśniać szczegółów tego epilogu małżeńskiego między Heleną

a Filipem; z jego ust słowo skargi nie wyszło; zresztą, on nie istniał przecież dla świata, w którym zawsze był intruzem, gdzie przyzwyczajono się nie widywać go nigdy i uważać za umarłego cywilnie.

On jeden tylko mógł być opowiedzieć szczegóły rozstania się z żoną, gdyby miał siłę odświeżać przy nich serdeczne rany, które krwawiły się w ukryciu.

Wszystko, co musiał znieść, przecierpieć od śmierci dziecka, było tajemnicą tylko jego własną.

Ostatni cios dotknął go najgłębiej i najboleśniej, a jeśli go nie zabił, jeśli zostawił przy życiu i przy zmysłach, to tylko przez tę jakąś tajemniczą, niespożytą naturę serca, które pęka niekiedy zaledwie zadrażnione, a wytrzyma je nieraz uderzenia obuchem losu.

Filip mógł teraz powiedzieć o sobie słowami poety:

Zrazum zwątpił już w rozpacz,
Myśląc: znieść to — sił mi brak;
Jednak stało się inaczej —
Zniosłem — lecz nie pytaj: jak?..

Kilka tygodni po pogrzebie Stefanka złamany ojciec popadł w stan jakiegoś odrętwienia, był prawie nieprzytomny, ból pograżył go w apatyę bez granic po gwałtownych wybuchach rozpaczycy; godzinami całami siedział nieruchomy, z głową opartą o rękę i milczał, zamknięty w swoim pokoju na klucz. Raził go widok twarzą ludzką; światła znieść nie mógł; więc nawet okno w jego gabinecie zasłonięte było niebieską storą przez dzień cały.

Od czasu do czasu tylko, głośne, nad wyraz przykre i bolesne łkanie wydobywało się, jak paroxyzm i kuczowo zdławione w piersi milkło znowu, jakby siłą woli zgłuszone.

Przez zamknięte drzwi słyhać było niekiedy rzewnym, czułością prawie kobiecą przepojonym głosem wołanie nieszczęsnego ojca:

— Stefku, Stefusiu!..

Był czas, kiedy zachodziła obawa o zmysły Filipa.

Helena instynktownie bała zbliżać się do drzwi mężowskiego pokoju; uciekała do matki i sióstr; u których spędzała dnie całe, unikała widoku męża pod pozorem, że ją denerwuje zanadto jego twarz blada, jak u upióra, i błędny wzrok, którym patrzy do koła, nie widząc nikogo.

Dr. Szypowicz, niewzywany, przyszedł sam odwiedzić Filipa — i zaniepokoił się wielce jego stanem.

Pod tą szorstką powłoką starego mruka kryła się dobra, pocziwa natura człowieka z sercem; miał współczucie dla cierpień, których nauka jego i sztuka lekarska uśmierzać nie mogły.

Zpoczątku zamykał się sam ze swoim nowym pacjentem w jego gabinecie i zaczął leczyć chorobę duszę, później zajął się i ciałem.

— To nie tak łatwo umrzeć — mawiał — na zawołanie, a zwaryować jeszcze trudniej... Po co kusić Pana Boga nadarmo!.. Człowiek powinien być, jak trawa — podeptana, wstaje i rośnie jeszcze bujniej. Czas i praca, to dwa lekarstwa na wszystkie cierpienia duszy... Trzeba wrócić do pracy, ona jest środkiem i celem w naszym życiu.

Rady tej jednak Filip nie mógł słuchać: brakło mu sił i energii; po dwóch miesiącach poszedł do pracowni, próbował robić cośkolwiek, wykończyć pozaczynane studia, ale mu dłuto z rąk wypadło, głowa ciężła, oczy mgłą zachodziły. Nie miał siły do pracy, jak nie miał więcej wiary w życie i w siebie.

Stosunek z żoną zmienił się od pogrzebu dziecka fatalnie; jej oziębłość w chwilach, w których jedno cieplejsze słowo, jeden serdeczny uścisk ręki byłby balsamem ukojenia dla męża, wznosiła jakby zapórę z lodu pomiędzy nią a nim. Nie umiała kłamać uczucia i zadawać sobie przymusu, a do obowiązku serca nie poczuwała się wcale, przyzwyczajona tylko, aby ją kochano. Z ubytkiem dziecka stała się w niej dziwna odmiana; zdawało się jej, że jakiś węzeł łączący

ją z Filipem pękł nagle, przekonała się, że go nie kocha wcale—że go nigdy naprawdę nie kochała. Obojętnym jej był teraz, jak człowiek obcy, i dlatego rozpacz jego drażniła ją więcej, niż bólała; niecierpliwiał widok twarzy, w której instynktownie jakiś wyrzut dla siebie upatrywała.

Co im obojgu teraz pozostawało wspólnego?—pytała się nieraz—co po takim życiu dwojga galerników, dzwigających jedną kulę u kajdan?... Nie przyznawała się przed sobą, że była jeszcze jedna przyczyna ukryta, która ją także coraz bardziej oddalała od męża, a przyczyną tą był nieustający, pomimo krótkich przerw, stosunek z Pielskim. Helena przez egoizm i ambi- cję nie chciała dopuścić nawet tej myśli, aby we własnym przekonaniu nie poczuwać się do jakiegokolwiek winy i tem swobodniej całą odpowiedzialność zrzucić w części na losy, a głównie na Filipa, że nie umiał i nie starał się jej uszczęśliwić.

Pielski tymczasem coraz misterniej tkął swoją siatkę około pięknego kolibra i powoli z rozmysłem, z obliczonym z góry efektem swoje strategiczne plany roztaczał; tym romansem bez romanu bawił się, jak teoretyk, robiący experimenta.

W domu Okulskiej postawił się na stopniu zażyłości prawie familijnej.

Klarcie żartobliwie nazywał „swoim tyranem“, porozumiewając się bardzo szybko ze sprytną dziewczyną, która pewnego razu powiedziała mu prosto w oczy:

— Panie Zygmuncie, mama mnie szpakami nie karmiła, ale z natury jestem domyslną; ja wiem, kim pan jesteście zajęty, i choć mnie za pana za mąż wydają, nic z tego nie będzie. Uczucia pańskie jednak zostaną w rodzinie...

Zygmunt rozśmiał się wesoło, uśmiałonij bardziej swobodnym tonem panny, która stawała z nim na stopie *d'un bon camarade*.

— Jaki i nie poszłabyś pani za mnie za mąż, gdybym miał zaszczyt i śmiałość prosić panią o to?— spytał, ściskając poprzyjacielsku rączkę panny Klary.

— Otwarcie panu powiem, że nie, — odrzekła — jakkolwiek nie ubliżam w niczem pańskim warunkom na męża.

— I dlaczego?

— To już mój sekret i—pański.

— Nie rozumiem dobrze.

— Widocznie źle się tłumaczę, a lepiej mi nie wypada.

Z Heleną natomiast toczyły się rozmowy coraz dłuższe, coraz cichsze, nawet w obecności siostr i matki, która udawała, że nie widzi czy nie wiedziała rzeczywiście tych manewrów Don Juana około zameknej jej córki.

Rozumowała sobie może, że ta „zabawka“ należy się Helenie, nieszczęśliwej w pożyciu z od- ludkiem i dziwakiem, który ją „zamarynować“ pragnął w kwasie domowej atmosfery.

Prezes od pewnego czasu rzadziej bywał w do- mu pani Okulskiej, a z siostrzeńcem, wyczerpa- wszy argumenta przeciw manii bałamuctwa w dzisiejszem pokoleniu, unikał rozmowy o wspól- nych znajomych.

Napozór zdawało się, że stosunek Zygmunta z Heleną utrzymuje się ciągle na jednym pozio- mie i że jak w zaczarowanym kole, kręcić się bę- dzie zawsze około tej kwestyi: komu prędzej się sprzykry mówić, czy słuchać waryacyi na jeden temat o niegodziwości losu, który nie uszczęśli- wia tych, co na to zasługują, a pokrzywdza naj- niewinniejsze ofiary.

W rzeczywistości wszelako było trochę inaczej; fatalność chciała, aby o tem pierwszy przekonał się—Filip, którego zazdrosne podejrzenie zatłu- miły inne uczucia podczas choroby i po śmierci Stefanka.

Zgnębiony bólem ojciec nie pozwolił mężowi zajmować się Pielskim i przypuszczać, że po stracie dziecka Helena otrząśnie się tak wcześnie z macierzyńskiego smutku i powróci do kaprysów kobiecej próżności.

Cierpienie czyni człowieka egoistą; Filip zaj- mował się teraz więcej sobą, niż całym światem. Musiał jednak zauważyć zmianę, jaka zaszła

w całym postępowaniu Heleny względem niego; jeśli dawniej bywał dla niej obojętnym, teraz stał się zupełnie obcym.

Przypadek posłużył mu do odkrycia prawdy, która zerwała ostatnią nitkę, wiążącą go z żoną.

Powróciwszy pewnego dnia wcześniej do domu, Heleny nie zastał, jak najczęściej w tych cza- sach, ale na podłodze u wejścia do jej pokoju znalazł porzuconą kopertę, świeżo rozciętą; schy- lił się mimowoli, podniósł i przeczytał adres. drobnem, okrągłym pismem pofrancuzku wysta- sowany: A Madame, Madame, Helène Morelli.

W pierwszej chwili nic szczególniejszego nie zwróciło jego uwagi, więc obojętnie rzucił koper- tę do koszyka z papierami; dopiero później przy- szła mu myśl: kto taki może pisywać do jego żo- ny?... Wrócił się, aby zobaczyć jeszcze raz adres na kopercie; pismo było mężkie, nieznanne mu zu- pełnie.

Sam nie wiedział zkąd, dawne podejrzenia od- żyły nagle w jego sercu; przypatrywał się długo okrągłutkim, starannie toczonym literkom, jakby wyczytać z nich chciał tajemnicę, którą koperta ta przyniosła do jego domu.

— Dzieciństwo! — mówił sobie — lada list bę- dzie mi macił znowu spokój wewnętrzny. Czyż nie wolno nikomu już pisać do niej?...

Mimo te perswazyje zdrowego rozsądku, ko- pertę schował do pugilaresu.

W tydzień później znowu przypadek nadarzył mu sposobność pochwylenia niteczki od kłębka, którego się domyslać nie śmiał; wpadł bowiem na ślad korespondencyi stałej między Heleną a kims utajonym, w którym odrazu podejrzewał Pielskiego.

Zamiast, jak zwykle, o dziewiętej, wyszedł pe- wnego razu o jedenastej do pracowni i w samych drzwiach spotkał się z posłańcem, który trzymał list w ręku; uderzył go format i kolor koperty taki sam, jak tej, którą nosił w pugilaresie.

Adres był tą samą ręką pisany.

Helena zdziwiła się niemało, kiedy w drzwiach swojego pokoju zobaczyła bardzo rzadkiego i nie- spodziewanego gościa; stanął przed nią mąż w paltocie, w kapeluszu jeszcze na głowie, któ- rego przez roztargnienie zdjąć nie zdołał, i oboję- tnie, ale drżącym nieco głosem odezwał się:

— Jest do ciebie list jakiś.

Helena odwróciła się nagle przy gotowalni i srebrny wyprawowy grzebień z rąk jej wypadł.

— Do mnie?... gdzie?... spytała, hamując lek- kie pomieszanie, jakie się w tym nagłym ruchu zdradziło.

— Oto jest, — rzekł Filip, podchodząc bliżej i podając zonie list przyniesiony.

Spojrzała szybkim rzutem oka na adres i za- rumieniła się powyżej uszu; potem odwróciła się znowu ku zwierciadłu, udając, że zamierza koń- czyć czesanie.

List leżał przed nią na stoliku, umyślnie pis- mem odwrócony do spodu, jakby się obawiała martwych liter, które za wiele powiedzieć-by mo- gły nie w porę.

Filip nie odchodził, stał za plecami żony i cze- kał.

— Dlaczegoż go nie otwierasz? — spytał po chwili.

Nie odpowiedziała ani słowa.

— Nie jesteś ciekawą, co ci piszą?...

— Nie lubię być kontrolowaną.

— W takim razie ja jestem ciekawy dowie- dzieć się, od kogo odbierasz takie listy?

Głos mu silniej zadrżał przy tych słowach i oczy zapłonęły ogniem złowrogim; wyciągnął rękę, ale w tejsamej chwili Helena uprzedziła go i trwożnie sięgnęła po list, aby go ukryć w kie- szeni koronkowego szlafroka.

— Proszę zdjąć kapelusz w moim pokoju, — rzekła, siląc się na spokój i równowagę

— Chcę wiedzieć, kto do ciebie pisuje! — za- wołał podniesionym głosem, nie mogąc dłużej hamować wzburzenia—ten list!... przedzi!...

Położył rękę na jej ramieniu, a pod naciskiem jego żelaznych palców Helena zerwała się, jak nadeptana żmija i wyprostowana stanęła przed nim, spoglądając mu groźnie i wyniosłe oko w oko.

— Nie dotykaj mnie, zabraniam ci tego! — wy- buchnęła z gniewem.

Zwrócił się, drzwi zatrzasnął gwałtownie, zamknął na dwa spusty i klucz ściskając w pod- niesionej ręce, jak sztylet, syknął z przeraźliwą passją:

— Ten list!... słyszałaś?!

Błada z oburzenia i gniewu z rękoma w kie- szeniach stała przed nim oparta o konsolę pod ścianą i milczała z jakąś uporną stanowczością, przygotowana na wszystko.

Podskoczył do niej raczej, niż podszedł i chwy- tając za rękę, trzymającą ukryty list w kieszeni, szarpnął nią tak silnie, że koronkowy szlafrok rozdarł się na przodzie.

— Muszę go mieć! — zawołał.

Helena mocując się z mężem, wyrwała mu się z rąk i stanęła u okna swej sypialni.

— Zawołam ludzi na pomoc!

— Pochwylił ją w szale zazdrości i odciągnął na środek pokoju.

— Wołaj! — ale wpię, jako mąż, mam prawo wiedzieć, dla kogo mnie zdradzasz.

— Ha! jesteś nikczemny, zuęczasz się nademną bezbronną kobietą! — rzuciła mu te słowa w twarz, jak policzek, jęknawszy z bólu; białe jej ręce po- siniały w uścisku Filipa.—Zabij mnie, a tego li- stu nie dostaniesz dobrowolnie.

— Więc przyznajesz się! — zawołał z roz- paczą, wstrząsając nią gwałtownie. że aż długie jej włosy spięte na głowie rozsypały się falą zło- tawych splotów na ramiona.

— Nie masz prawa mnie posadzać, brutalu!... nie umiałeś być dla mnie mężem, nie dałeś mi nic, prócz cierpienia i goryczy, nie wtrącaj się do mnie. Nienawidzę cię!.. tak, jestem w twej mo- cy, a powtarzam ci to raz jeszcze, nienawidzę cię i niczem nie zmusisz mnie do tego, abym cię kochała... Nie dałeś mi ani jednej chwili szczę- ścia, ani jednej chwili zadowolenia, podczas gdy ja wszystko dla ciebie poświęciłam; z łaski mo- jej żyłeś dotychczas, moim chlebem karmiłam cię dotąd, a za to wszystko porywasz się na mnie teraz, jak dzikie zwierzę—ty, artysto gor- szy od stróża!...

Mówiła to jednym tchem, z twarzą rozognioną, w jakimś szalonym rozdrażnieniu, którego po niej przypuszczać było trudno, tonem wyzywają- cym, drżącym od gniewu i irytacyi, głosem podnie- sionym, który nabrał piskliwej ostrości patrząc mu z pogardą w oczy, z jakimś lekceważeniem niebezpieczeństwa.

— Masz, bij mnie!... tyś zdolny do tego, ale te- raz wiesz przynajmniej, co ci wiedzieć należało!.. znajdą się tacy, co się pomszczą za mnie!...

Słowa jej wręcz przeciwny skutek wywarły; Filip osłupiałym wzrokiem zaczął wpatrywać się w nią teraz, jakgdyby własnym uszom dowierzać nie chciał i jakby siłił się na zrozumienie wyra- zów, które jak grad ołowianych kul spadały mu na serce.

Zwolna muskuły jego rozstrajały się, jak stru- ny w wstrząśniętym gwałtownie instrumencie, palce, które wpiły się w ciało Heleny stalowymi kleszczami, puściły jej ramiona i pod wrażeniem bólu, jaki przyniósł w nim do głębi całą istotę osłabł, zmartwiał zupełnie; prawie bez- przytomny patrzył teraz w swą żonę, jak w ja- kąś obcą, nieznaną, niewidzianą nigdy istotę, aż głosem złamanym, matowym, który brzmiał niby skarga zagrobową, wyjąkał do siebie z naj- głębszym bólem:

— I ja tę kobietę kochałem!..

Potem, nie odwracając od niej oczu, poszedł wolnym automatycznym krokiem ku drzwiom, otworzył je i powtarzając bezprzytomnie:

— I ja tę kobietę kochałem! — wyszedł na zawsze z sypialni żony.

Helena, zarzucając na siebie pled, wybiegła w kilka chwil później do matki z zamiarem nie- powrócenia więcej pod dach brutalnego mał- żonka.

Obawy spotkania się z Filipem były wszelako płonne; ostatnim ciosem ugodzony w serce, Filip zamknął się w swojej pracowni, aby z niej już nie pokazywać się światu.

— Moim chlebem karmiłam cię dotąd!...

Te słowa żony paliły go, jak żelazo pod przegierzem.

Tegosamego wieczora jeszcze, gdy się rozebrała fatalna scena pomiędzy małżonkami, Pielski otrzymał bilecik skreślony ręką Heleny:

„Panie! nie mogłam pana dziś zobaczyć w ogrodzie, stała się katastrofa niespodziewana; muszę z panem rozmówić się koniecznie. Jestem u mamy i oczekiwam pana będę z niecierpliwością. Sprawa bardzo ważna. H...”

(Dalszy ciąg nastąpi).

CZYTELNIA KOBIEC

we Lwowie.

Lwów w Listopadzie 1886 r.

„Prawo Chrystusa w rzeczywistości
Ze słowem Bożem—chleb dla każdego,
Z życiem na ziemi—miejsce wśród tłumu,
Ze światłem słońca—światło rozumu,
Z pamięcią przodków—win odpuszczenie,
I z pracą wszystkich—wszystkich zbawienie!”

Te słowa Żmichowskiej są niejako hasłem dziesięciu pracujących kobiet i uczyniła je też hasłem swoim większość pracujących kobiet naszego miasta. Chleba i miejsca na świecie potrzebujące sobie szukać o siłach własnych, pragną też one i światła rozumu, któreby rozświetlało im drogę życia niełatwą dla nikogo, a dla nich niewątpliwie trudniejszą już z tej przyczyny—że kobiety, że najczęściej samotne i bez oparcia.

Cheć też oparcie to sobie stworzyć i z osamotnienia wyjść, uczyły one naturalną chęć zbliżenia się wzajemnego dla wymiany myśli, dla podania sobie ręki pomocnej, dla zdobywania wspólnie coś promyków światła rozumu i z tej to chęci stworzyła się „Czytelnia kobiet”, która jest ogniskiem ześrodkowanej dążności pracujących kobiet lwowskich do samopomocy.

Że i ta chęć, i to, co wydała, w żadnym razie naganne być nie może, jest to najgłębszym przekonaniem uczestniczek czytelnicy i przypuścić można, że wszyscy ludzie dobrej woli to uznają. Czytelnia nie jest, ani nigdy być nie pragnęła, jakimś klubem kobiet, zowiących się emancypankami i uczestniczkami jej odzywają się tak do opinii publicznej:

— Pragniemy dla oświecenia naszych umysłów czytać rzeczy prawdziwie dobre, pragniemy nade wszystko dać uboższym z pomiędzy nas możność użytkowania z pism i książek, jakichby sobie same zgromadzić nie mogły, pragniemy zapewnić im korzyści towarzystwa kobiet, które już przeszły pewną filiacją cywilizacji i ztąd ostrożniej przyjmują nowości i powstrzymują zapał umysłów pod tym względem mniej dobrze przygotowanych.

Raz w tydzień urządzamy dla członków czytania wspólne ze stosownymi komentarzami; odczyty z zakresu nauk estetycznych, filozoficznych i psychologicznych w stopniu elementarnym, na jaki nas stać. Czytałyśmy wspólnie od Lutego b. r. w którym powstała czytelnia, śliczną nowellę Władysława Łozińskiego pod tytułem: „Madonna Bussowicka”, nowelle konkursowe „Tygodnika ilustrowanego”, a obecnie przygotowujemy się do czytania na głos Mickiewicza.

Odczytów było: jeden o „Bohdanie Zaleskim” z powodu jego zgonu; dwa „o kwestyi kobiecej”; jeden o „objawach wyobraźni”; dwa o dwu tomo- wej książce w rodzaju pamiętników pod tytułem: „Puławy”; jeden z dziedziny sztuki „o portrecie” i jeden nakoniec o „Wiktorsze Hugo”.

Na czas półroczny nie jest to może dość; gdy się jednak obliczy wszystkie trudności towarzyszące każdej nowej rzeczy, pierwsze szukanie sobie drogi, czy ścieżki, dalej wakacje: dochodzi się do przekonania, że jest to zawsze coś zrobionego, jak było można najlepiej, bo na najlep-

szych chęciach nie zbywało. Dodać też tu trzeba, że jest już przeszło 150 członków, i że czytelnia od niedawna dopiero otwartą jest od 9-jej rano do 8-jej wieczorem.

Z dzienników mamy: Gazetę Narodową, Kuriera lwowskiego, Szczytkę, Czas i Kraj.

Z pism peryodycznych: Przegląd społeczny, Ognisko domowe, Przegląd polski i powszechny, Missye katolickie, Ateneum, Kronikę rodzinną, Tygodnik ilustrowany, Bluszcz, Echo, Wędrowiec, Przegląd pedagogiczny, Revue des deux mondes. Biblioteka wypożyczana do domu składa się z kilkuset tomów, treści doborowej, prócz tego bibliotekarka wydając dzieła, obowiązana jest uwzględnić wiek wypożyczającej.

Na czelu czytelnicy stoi szanowna pani Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa, znana zaszczytnie polskiej publiczności szczególnie w Warszawie, której jest córą. Do pomocy dodany jej jest zarząd składający się z 22 członków wybranych z kobiet starszych, znanych w mieście z zapału do wszystkiego, co pożyteczne, ze starszych nauczycielek, wogóle z osób zajmujących się wychowaniem, bo dodać należy, że zasiadają w nim wszystkie przełożone zakładów prywatnych; z młodszych sił mamy przeważnie kandydatki nauczycielskie.

Zestawienie faktów da łatwo poznać, że większość towarzystwa składa się z osób poświęconych pedagogii, lecz mylnem jest mniemanie, jakoby czytelnia miała być tylko dla tego stanu utworzona; przeciwnie: przyjmujemy w nasze grono każdą kobietę liczącą lat 18 i przedstawioną przez trzy osoby z zarządu, a opłacającą 1 fl. wstępu i 30 centów miesięcznie.

Między starszemi członkami mamy dość znaczną liczbę nie nauczycielek, między młodszemi mniej, nic dziwnego, bo młodość śpieszy chętniej tam, gdzie się uśmiecha nadzieja weselszej zabawy i sposobność rozrywki, więcej ożywionej. Jednak z drugiej strony młodość właśnie potrzebuje oświecać sobie umysł, potrzebuje i można dodać—potrzebuje bardzo, aby ktoś kierował tem oświeceniem. Do bardzo ważnych dla młodości rzeczy—do rzeczy pierwszorzędnej dla niej znaczenia, należy to także, aby czytanie miało podobną pomoc rozumnego kierunku ze strony osób znających się na wartości pisarstw, na ich tendencji i większej, lub mniejszej podniosłości ich myśli.

Dotąd nie miałyśmy pozwolenia urzędowego, bo, miesząc się początkowo pod skrzydłem „Stowarzyszenia pracy kobiet”, które je posiadało, nie potrzebowałyśmy go; później dopiero, gdy powstała myśl urzędzenia się osobno, należało się o to postarać. Ten brak nie pozwolił nam więc na żadną czynność szerszego zakresu na występowanie publiczne: i dlatego dotąd odczyty i pogadanki czytelnicy musiały się ograniczać do jej członków. Teraz pragniemy o tyle rozszerzyć nasze działania, że zwrócimy się do kilku życi- wych nam mężów nauki, aby raczyli czasem poświęcić czytelnicy jakiś odczyt, lub pogadankę, tej wartości wyższej, na jaką dotąd trudno nam się było zdobyć.

Jeśli myślimy o takich odczytach, to znów nie mamy zamiaru rozpoczynać poważnych studiów: czytelnia nie jest jakąś akademią; uważamy ją z jednej strony za miejsce odpoczynku po pracy, a najwyższem naszym życzeniem jest dodać do nauki szkolnej coś jeszcze—coś z dziedziny literatury i sztuki, historii, a zarazem z poglądów na życie, których rozświetlenie potrzebuje ko- oieta, zwłaszcza dzisiejszej epoki, gdy tyle rozmaitych prądów myśli ludzkiej ściera się ze sobą. Goethe pięknie powiedział: że „Do kobiety iść mają po radę mężowie w sprawach obyczajów i piękna”, ale trzeba tu dodać i to jeszcze, że ko- bieta chowa dziecko, że jest towarzyszką życia mężczyzny—jest obywatelką, więc potrzebnym jej jest zasób wiedzy, nie tylko naukowej, ale i w kierunkach społecznych. Potrzeba jej jest, aby umiała patrzeć na życie i zdawać sobie sprawę z biegu wypadków, które stanowiąc będą z czasem dzieje jej epoki.

Taki jest nasz program i rezultat dotychczasowych usiłowań dla przyszłości naszego przedsię- wzięcia; pragniemy jeszcze dwóch rzeczy, a miano-

wicie: rozszerzenia koła i niezamknięcia się w kastowości, co zawsze jest rzeczą niebezpieczną, a coś dopiero w zawodzie nauczycielskim, który wtedy prawdziwie pożytecznie działać może, kiedy go łączy ścisły związek nietylko ze szkolną dźwiatwą, ale i z jej rodzicami. Z tego związku nauczycieli i rodzin, którego w Galicyi tak bardzo braknie wynikać-by musiało większe poczucie obywatelskie, o którym nauczycielki świeżo do publicznego urzędu powołane nie mogą jeszcze mieć dokładnego wyobrażenia.

Jeśli pragniemy, aby nasze stowarzyszenia pomagało kobiecie rość w wyższą cnotę obywatelską, aby pozwalało jej zdobyć sobie więcej „światła rozumu” i stworzyć jej przez to pragnienie nie poprzestawania na samem pozyskaniu sobie „chleba” i „miejsca wśród tłumu”, to dlatego, że w programacie naszych chęci mieści się także: „I z pracą wszystkich, wszystkich zbawienie”.

Ze nie jest to nic, co by trąciło niewczesną emancypacją, że nie jest to nic, co by przechodziło zakres kobiety, pojętej wedle naszego rodzimego ideału kobiecości—twierdzić śmiemy.

MOWA DZIECKA.

Wyróżniającą cechą człowieka od wszystkich innych stworzeń na tym świecie jest dar słowa. Należy przypuszczać, że zwierzęta za pomocą ryku, pisku, miauczenia, rżenia, szczebiotania, skrzeczenia i t. p., porozumiewają się między sobą, ale mową artykułowaną, posługuje się tylko człowiek i za jej pośrednictwem jeden drugiemu jest zdolny najdokładniej myśli swe wyłożyć.

Nawet człowiek najprozaiczniejszy zachwycać się musi tym świetnym darem, jakim jest głos ludzki, wyrażający się w żywym słowie albo śpiewie.

Człowiek, przychodząc na świat, jeżeli nie przyniósł z sobą wady organicznej, wyposażony jest w dar mówienia; dar ten jednakże jest tylko w zawiązku i w miarę rozwijania się wszystkich organów rozwijają się również i organa, które- mi się posługuje mowa.

Nie mam zamiaru opisywać tu całkowicie funkcji mówienia: jest ona nader skomplikowaną i wymaga znajomości anatomii; chciałbym tylko pokrótce zapoznać laskawe czytelnicy: w jaki sposób głos powstaje i jak stopniowo dziecko rozwijając się uczy posługiwać mową.

Organami mowy są przede wszystkim płuca i krtani, a w pomoc im przychodzi podniebienie miękkie, język, wargi i zęby, wreszcie nos.

Płuca i krtani wydają głos, który za pośrednictwem powyższych wymienionych organów dodatkowych zamienionym zostaje na żywe słowa, w mowę. Można mówić cicho zupełnie t. j. szeptem, bez udziału płuc i krtani do mowy jednakże gło- śnej, do krzyku i śpiewu, jest ich współdziałanie niezbędnym, od nich również zależną jest modu- lacja mowy.

Płuca w wydawaniu głosu odgrywają podobną rolę, jak miechy w organach; zadaniem ich jest wpędzać powietrze do tchawicy, która tworzy rodzaj instrumentu budową bardzo do klarnetu zbliżonego. Stanowi ona mianowicie sprężystą (chrząstkową) rurkę, zakończoną krtanią, w której pomieszczają się dwie wpoprzek umocowane struny głosowe. Powietrze wychodzące z płuc wprawia krtani, a głównie struny głosowe, w drganie i wywołuje dźwięk, który, skutkiem urozma- iconego układu podniebienia, języka, warg, zamie- nia się w dźwięk, słucha przyjmowany przez jako mowa, śpiew, świst, krzyk i t. p.

Od rozwinięcia płuc i tchawicy zależy siła i skala głosu, od uformowania podniebienia, języka, zębów, wargi budowy nosa—sposób mówie- nia.

Bez wątpienia dla rodziców pierwszy szczebiot, a raczej pierwsze wymówione wyrazy, stanowią z niczem niedającą się porównać radość i pocie-

chę; te pierwsze słowa: „papa, mama”, to na razie balsam na wszelkie przykrości. Prócz radości, jaką sprawiają te pierwsze słowa malenstwa, wzbudzają one jednocześnie podziw: w jaki mianowicie sposób rozwija się w niem ten dar mówienia, jakie zmiany odbywają się w całym jego organizmie.

Mowa, jak już wspominaliśmy, nie jest wrodzoną; trzeba jej się nauczyć. Natychmiast i przez pewien przeciąg czasu po urodzeniu aparat oddechania jeszcze nie jest dostatecznie rozwinięty, krtani jest zupełnie miękką; struny głosowe i język nie rozwinęły się jeszcze o tyle, aby mogły pokonywać trudności, jakich wymaga sztuka mówienia — gdyż jeszcze raz powtarzamy, że mowa, nawet najzwyczajniejsza, mowa niemająca nic wspólnego z krasomówstwem i deklamacją, jest w swoim rodzaju sztuka — zęby, niezbędne do wymawiania niektórych spółgłosek, jeszcze nie wyrosły, a co najważniejsza, braknie jeszcze, jeżeli tak się wyrazić wolno, psychologicznej strony mówienia.

Mowa jest wyrażeniem myśli: tymczasem mózg małego dziecka, to jak książka niezadrukowana, na której wrażenia umysłowe stopniowo i powoli drukują litery i w miarę tego wywnętrzanie również objawia się stopniowo i powoli. Pierwszym jego objawem jest uśmiech, który poczytać należy za pierwszy objaw uzewnętrznionej inteligencji dziecięcia. Później dopiero, w miarę wykształcenia się zmysłów słuchu i wzroku, otwiera się dla dziecka nowe pole, poczynają ono nabierać wyobrażenia o kształtach i dźwiękach, które rozwijają jego dziecięcy umysł. Z rozwinięciem się ich, dziecko przez pewien czas po urodzeniu nie widzi i nie słyszy, zaczyna chwytając przedmioty, których dosięgnąć zdoła, bierze je instynktownie w usta, odwraca głowę na dźwięki i wołanie, i samo zaczyna gwarzyć. Z początku jednakże są to głosy oderwane, nie dające się za pomocą sylab określić, przeważnie opierające się na samogłoskach A, O, U — charakterystycznym i bezdźwięcznym prawie drganiem krtani, co w rodzaju H. Jest to pierwszy peryod który zwykle określamy: „dziecko gaworzy.” Dalsza nauka mówienia rozpada się na dwa peryody, z których pierwszy trwa zwykle przez rok, a czasami i półtora, drugi zaś przeciąga się do skończenia drugiego roku lub do połowy trzeciego. Termina te zależne są od płci, gdyż dziewczynki uczą się mówić daleko łatwiej i prędzej, aniżeli chłopcy, i od stanu zdrowia; dzieci chorowite, albo takie, które przebyły długotrwałą chorobę znacznie się opóźniają w mówieniu. Zauważyłem niejednokrotnie, że dzieci, które już wymawiały całkowite wyrazy, w czasie choroby, — szczególnie ma to miejsce w koklusz — zaprzestają zupełnie mówić, a po skończonej chorobie do zupełnego odzyskania sił zachowują uporczywe milczenie i muszą rozpoczynać naukę jak dzieci, które jeszcze wcale nie mówiły. Między jednym a drugim peryodem dziecko rozwija się pod względem fizycznym, zaczyna się o własnych siłach poruszać, suwać po ziemi, łązić na czworakach i ostatecznie chodzić.

Kto był dość ciekawym i obserwował dzieci w pierwszym peryodzie rozwijania się w nich sztuki mówienia, ten mógł zauważyć, że zasób ich mowy składa się z dźwięków, w które wchodzi samogłoski: A O U i spółgłoski: B P M T i N a także H i Ch. Jak widzimy, są tu przeważnie w ruchu spółgłoski wargowe i językowe, wargi bowiem i język skutkiem ssania, które jest w swoim rodzaju dosyć ciężką pracą, najwcześniej się wygimnastykują i temsamem stają się zdatnymi do funkcji mówienia. Dzieje się to również skutkiem tego, że powyższe spółgłoski są najłatwiejszymi do wymówienia i że z początku prawie przy bezwiednym układzie ust i języka przy wydechaniu nabierają już określonego brzmienia. To nam objaśnia: dla czego u wszystkich narodów nazwa ojca i matki zawiera w języku dziecięcym samogłoskę A i spółgłoski wargowe, językowe i brzmi mniej więcej w ten sposób: Papa, Mama, Baba, Dada, Nana. Oto pierwsze wyrazy, które zazwyczaj dziecko z siebie wydaje i do prawdy wybaczymy wszystkim papom i jeszcze bardziej wszystkim mamom, złudzenie, że temi

słodkimi dźwiękami milusińscy specjalnie ich wołają, że ten szczebiot oznaczać ma Ojca i Matkę.

Z rozwojem sił fizycznych i umysłowych, około początku drugiego roku życia, wstępuje dziecko w drugi peryod nauki mówienia, i znacznie szybszymi krokami robi postępy. Jeżeli pierwszy peryod był tylko przygotowawczym, to drugi stanowi kompletny kurs nauki mówienia; dziecko robi wysiłki, zmusza mięśnie i nerwy do posłuszeństwa, by wymówiły usłyszane wyrazy, by objawić za ich pomocą swe żądania, t. j. wyraża już swe młodociane myśli.

W jaki sposób malenstwo składa samogłoski i spółgłoski, ażeby utworzyły wyrazy?

Ma ono swoją metodę bardzo prostą, która zasadza się na tem, że to, czego wymówić nie może i nie umie jeszcze, wyrzuca, albo bez ceremonii (milusińscy są zawsze bez ceremonii) zastępuje przez inne takie, których nauczył się już wymawiać. Cudowna metoda! Żeby to tak w późniejszym życiu można się jej zawsze trzymać! Itak na przykład, zamiast „woda,” mówi sobie — otta; zamiast kawa — tawa; zamiast bułka — bula; zamiast na rękę, — na lete; jeżeli wyraz jest długi i trudny do wymówienia, to ogranicza się tylko na pierwszej jego części; dzieje się to także dla tego, że pamięć mu nie dopisuje jeszcze i wtedy na okno, nazywa się noono; bawarka — ba i t. p. Prócz tego dzieci tworzą zupełnie nowe wyrazy, które najmniejszego podobieństwa nie mają do tych, który słyszały; dla nich mają one swoje właściwe znaczenie, lecz otaczający w żaden sposób nie są w stanie odcyfrować czego chcą, a raczej co chcą przez nie wyrazić. Wtedy dzieją się skandale; dziecko płacze i krzyczy np. tu butiu be, podaje mu się rozmaite przedmioty począwszy od buta, a skończywszy na... szybce z okna, albo kafelku z pieca, lecz to wszystko na nic się nie przyda, tu butiu be... tu butiu be. Rób co chcesz, najbliżsi, t. j. ani matka ani niania nie rozumieją. W tym peryodzie dzieci są najgrzeczniejsi i tu właśnie szukać należy powodu.

Prócz tego dzieci jakgdyby dla wprawy, paplają w tym peryodzie t. j. powtarzają usłyszane wyrazy, jak papugi, raz dokładnie, drugi raz znowu przekręcając wyrazy do niepoznania i cieszą się wtedy, śmiejąc się do rozpuku.

Nie mogę w tej chwili przypomnieć sobie całego zasobu mowy dziecięcej; gdyby to nawet nastąpiło, nie mam zamiaru spisywać tu jej słownika; ale, że byłoby bardzo korzystnie w tym kierunku przedsięwziąć działalność, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Gdyby matki notowały w jaki sposób ich dzieci uczą się mówić, to z tych: „kuku, lulu, papu, butiu” i t. p. możnaby dla nauki niemale korzyści wyciągnąć.

Dr J. Starkman.

Z NICEI.

Dnia 29 Listopada.

Jak ptak, który przed śniegiem i mrozem odlecieć musi daleko od miejsc, gdzie z gniazdka rodzinnego wyjrzał na świat Boży, i tylko tęsknie ogląda się poza siebie, tak ja, zagnana tutaj potrzebą cieplejszego klimatu, przesyłam te kilka wierszy do waszego pisma, z którym nie rozstaję się i tutaj, i którego czasową korespondentką czynię się też w nieprzebranym uczuciu przez kawałek wysłanego tam czasem papieru i myśli kilku, które tu kreśląc, poświęcało się stronom rodzinnym. Jestem w Nicei, i ogólnie w tej stronie świata po raz pierwszy, więc może nie wszystko potrafię opisać wam dokładnie, ale za to posiadam tę, niestartą jeszcze przez przyzwyczajenie, świeżość wrażeń, która ukazuje wzrokowi piękności już nieuderzające innych.

Choć urzędownie Nicea jest obecnie Francją jeszcze, Włochy to są przecież według praw natury, niewdającej się w politykę, i otaczający

mnie w tej chwili krajobraz nosi na sobie wszystkie te cechy, które nawykliśmy uważać za właściwości włoskiej już przyrody. Murawa jest tu zawsze zielona, drzewa nie tracą nigdy liści, ptaszki wciąż na nich świergoczą i skaczą po gałązkach, a błękit nieba nie staje się prawie nigdy szarym od tych chmur ciężkich, które dalej ku północy spadają o te czasy na ziemię zimnym, przenikliwie wszystko moczającym deszczem. Przecież powietrze, choć dziwnie miłe i łagodne, a od przybycia tu mojego niezmiennie tak ciepłe, że w dzień wystarczają mi zupełnie suknie letnie, wieczorem i wczesnym porankiem nakazuje już potrzebę cieplejszej zarzutki. Za to niema tu nigdy tych duszno-gorących upałów, które uprzykrzają się prawie taksamo, jak mrozy, i ta równość atmosfery tutejszej sprawia, że Nicea jest stacją klimatyczną, rzeczywiście zbawienną dla tych, którzy zmian powietrza znosić nie mogą.

Teraz właśnie rozpoczyna się taki sezon tutejszy, trwający od początku Grudnia do połowy Marca, i teraz dopiero ludzie poczynają się zjeżdżać. Za to natura zachwyca mnie tem więcej, że jeszcze używam jej wrażeń w skupieniu spokojnem. A zdaje mi się, że jestem w krainie wiecznej szczęśliwości, bo morze nawet, które przedstawia się zwykle naszej wyobraźni, jak jakaś wielkość groźna, tu jest tylko ślicznością powabną, a wody jego, są tak ciche i prawie zawsze spokojne, że zdaje się to być jakaś olbrzymia szyba kryształu. Wzrok z tej strony tylko ma otwartą sobie przestrzeń daleką, z resztą otaczają nas do koła góry, których wierzchołki, to tu, to tam połyskują srebrną koroną śniegów. Gdy słońce, zwłaszcza o zachodzie, kiedy blaski jego są różowe, rzuci tam snopy promieni swoich, widok jest prawdziwie czarodziejski.

Palmy daktylowe, wznoszące na wysmukłych pniach swoich, jakgdyby pierzaste wierzchołki zieleni, ciągną się wzdłuż promenady, która biegnie wybrzeżem morskiem blisko dwie mile (francuzkie) ale po jednej stronie tylko. Po drugiej jest żywopłot tak wysoki, że zasłania prawie cały widok na wybrzeże, lecz kiedy się temu dziwiła i żalowała, że palm niema i po drugiej stronie, objaśniono mi, że trzeba to było uczynić, aby właśnie zakryć widok od tej strony, bo praczkі Nicei, których jest legion, rozgospodarowały się tutaj na ten już włoski zwyczaj odbywania rozmaitych robót domowych pod gołym niebem. Jak w Rzymie i Neapolu gotuje się nawet na ulicy, tak tu praczkі objęły w posiadanie rzeczulkę, biegnącą do morza i piorą, wyzmagają, dalej suszą bieliznę, jak u siebie. Oczy wielkoświatowych elegantek i elegantów mogłyby się uczuć nieprzyjemnie dotkniętymi widokiem tak pospolitej sprawy życia; i dlatego zasłoniętym on został przez zarząd miejski, który, naturalnie, stara się być bardzo uprzejmym dla cudzoziemców, zostawiających tu rok rocznie ogromne pieniądze.

Ja, która się liczę do falangi mniej wybrednych śmiertelników, zajrzałam, jak mogłam, przez żywopłot i wyznać muszę w pokorze mojej prostoty, że obrazek, który tam zobaczyłam, wydał mi się bardzo malowniczym. Te rzesze kobiet i dziewcząt w najrozmaitszych postawach i w oryginalnych, już najzupełniej włoskich kostiumach, przedstawiały się w sposób charakterystyczny i wzrok przykuwający. Jestem też pewna, że malarz znalazłby tu niejedną grupę godną pędzla.

Było to wczesnym porankiem; pracowite robotnice, niezmeżone jeszcze, były pełne ożywienia, a ruchy ich, mające już tę harmonijność, ten wdzięk włoskiego ludu, niewidziany nigdzie indziej, nagrodziły mi widokiem swoim moje wczesne wstanie. Już to pod tym względem: mogę nazwać się tu wyjątkiem, bo wogóle w Nicei nikt się rano nie zrywa; koby przecież wstał dość wcześnie, aby mógł widzieć wschód słońca, dojrzeby na tem wyszedł. O tej jedynie chwili widzialną jest ztąd Korsyka, gdy słońce jeszcze poza górami skryte i dające znać o sobie tylko łuną ognistą, rozświeca już przestrzenie. Wyspa, zdająca się jakoby występować z łona fal morskich, rysuje się na tle wodnego obszaru fantastycznie, ale wyraźnie we wszystkich swoich rysach.

Gdy słońce ponad góry już się ma wzbici,

szczyty, zwłaszcza usnieżone — czarownie się przedstawiają w oświetleniu złocisto-różowym. Taki to jest pogodny i spokojny razem widok, że opisać go nie podobna. Patrząc, myślałam o Raju, nim go zakłóciła pokusa węzowa. Zachód daje efekta inne, bo tu światło wybija się ku górze, o zachodzie zaś w dół gdzieś zapada. Z uroczystością, ze wspaniałością świetną jego iluminacji łączy się wtedy pewien cień melancholii, poranek zaś jaśnieje łagodną wesołością i świeżością niezrównaną.

Więcej pozaiczne warunki tutejszego życia są dość zadawalniające. Hotele są bardzo wygodne i czyste, urządzone wspaniale; pożywienie w nich dobre i obfite, co wszystko razem wzięte, jak na miejscowe stosunki nie każe się przepłacać. Przynajmniej można być pewnym, że tu nie oszukują nikogo, nie będą korzystać z nieświadomości nowych przybyszów. Za to pomniejsze hoteliki i lokale pojedynczo wynajmowane, nie używają podobnie dobrej opinii, trzeba się pilnować i nawet potargować, nie wiążąc się na czas dłuższy przed rozejrzeniem się w okóło.

Włoskie *dolce far niente* nie opanowuje tu jeszcze ludzi, a przeciwnie, coś tu ich wyciąga z domu na piękny świat boży; góry zdają się wołać przyzywać do siebie. Popołudniowy spacer wzdłuż promenady pod palmami lub w Ogrodzie Publicznym, można też uważać za rodzaj odpoczynku po dalszych wycieczkach, wcześniej odbywanych. Szeregi stojących tu krzeseł bywają zawsze zajęte. Gdy muzyka wojskowa gra w ogrodzie, co ma miejsce dwa razy na tydzień, w Niedziele i Czwartki, ścisk bywa tu zawsze i trudność nie mała w dostaniu krzesła. Muzyka zaczyna się o pół do czwartej, lub o czwartej i gromadzi się tu wtedy *cały świat*. Jest to wystawa osób i miejsc zawierania znajomości, — wystawa elegancyi, którą panie mają posuwać do wielkiego zbytku, jak mi opowiadają ludzie, znający już tutejsze zwyczaje w porze, gdy goście zjadają w całym tłumnym komplecie.

Pierwszym celem dalszych wycieczek dla poznania okolicy jest zwykle „zamek“ budynek stary, wyglądający jak forteca, którą też był niegdys. Wznosi się on tak już wysoko, że widok, który się ztąd przedstawia, jest bardzo rozległy i zajmujący, na otaczające wsie i wille. Wiedzie tu bity gościniec, ślimakiem prowadzący ku szczytowi i kilku pobocznych drózek, dobrze utrzymywanych. Niedochodząc do zamku wkracza się w otaczający go ogród, ładny i pełen kwiatów, róż zwłaszcza; pawie spacerują tu w pysze swej samotności, która jednak nie doprowadziła ich do zdziczenia. Przeciwnie, są bardzo łaskawe i przyjmują chętnie poczęstunki, któremi zwykle darzą ich goście. Zwiedzanie tutejszych gór i darcie się na ich szczyty, ma być dla tych, którzy znają Szwajcaryą i jej wyniosłości, dziecinną zabawką. Ja przecież doznawałam innego wrażenia i wiem to od przewodników, że znajdują się i tu ścieżki niebezpieczne nie tylko przez swą spadzistość, ale przez płatanie się ich wzajemne. Można tu zablądzić łatwo i dosłownie się wyrażając — zginąć: zająć w jakimś labiryncie bez wyjścia. Czasem podróżnik znajdzie się nagle w lasku gęsto zarosłym, w którym kierunek dotąd prowadzącej drogi ginie, a że przejrzystość powietrza jest tu wielka, jakiś znany mu szczyt zdaje się być tuż, tuż prawie, przecież jest to omyłka wzroku, która może być niebezpieczną, jeżeli ktoś puści się samotnie, bez przewodnika.

Nigdy przecież w czasie tych wycieczek podróżny nie może długo cierpieć pragnienia. Drzew pomarańczowych jest mnóstwo i złoty ich owoc dostaje się przechodniom, albo darmo, jeżeli rosną na gruncie publicznym, albo bajecznie tanio.

W jednej z pysznych książęcych willi, położonej o kwadrans powozowej jazdy za Niceą jest drzewo, które urodziło już 8.200 pomarańcz. Cytrynowych i figowych sadów jest też obfitość wielka. Figa kwitnie tu cztery razy do roku, lecz cytryna raz jeden. Zapraszają tu do każdej willi podróżnych bardzo gościnnie, aby zaszli odpocząć, lub zwiedzić miejscowość. Freski, malowane, wprawdzie grubo, zdobią mury, gdzie się tylko da. Znajduje się pomiędzy nimi jeden na murze ponad fontanną owej willi książęcej, wart wspomnienia: przedstawia Mojżesza uderzającego w skałę, aby wydała zamknięte w głazie źródło.

Do miejsc ciekawszych należy góra, na której wznosi się starożytna cytadela: Mont Albion, oraz góra Cimié, dźwigająca resztki murów rzymskiego amfiteatru. W pobliżu starych ruin znajduje się kościół, budowa stosunkowo nowa, niemniej sięgająca Wieków Średnich, której ściany pokryte są bardzo wytwornymi malowidłami. Cmentarz jest też piękny — przecież nie w stylu paryżkiego Père-la-Chaise.

Teatr jest tu ładny i dobrze urządzony, opera szczególnie posługuje się siłami wcale dobrymi, tylko razi tu nas Polaków i Anglików zwyczaj ten, że łoże wynajmowane są częściowo; miejsca frontowe drożej, tylne taniej płatne, i ztąd gdy przód łoży zajmują postrojone, eleganckie panie z arystokracji, trzeba dołożyć pieniędzy, bo ceny tych miejsc są drogie, po za niemi mieszczą się osoby żyjące w skromniejszym stanie. Ze w łoży, która jest miejscem poniekąd zamkniętem i przedstawia coś jak własny salon, milej jest znajdować się w towarzystwie znajomem, to rzecz łatwa do zrozumienia. Ale można przecież całą łożę sobie nająć i podzielić się nią ze znajomymi.

Monaco, Monte Carlo, niedaleko ztąd i komunikacja niesłychanie ułatwiona, ale o tem potem, jeżeli będziecie chcieli czytać, co napiszę. Mnie aż strach pomyśleć o tem piekle ziemskim, bo mam pełne uszy okropności, zdarzających się am ciągle.

A...

MYSŁI.

Wierność w miłości — jest miłości próbą.
Nie wie czy kochał ten, kto kochał krótko,
Czy będzie serca zbawieniem, czy zgubą,
Miłość prawdziwa kwitnie — niezabudką!

To jest miłości dola i niedola,
Ze jest wolnością duchów i niewola!
Nikt nam miłości w sercu nie wymoże,
Lecz przestać kochać serce chcąc — nie może!

Z próżnego dzbanka nikt nie naleje
Przecież spragniony, skoro raz uwierzy,
Ze tam się kryje źródło wody świeżej,
Znajdzie ją ustom — będzie pił nadzieję!

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika.

Bezprzykładnie zniżona cena.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

przekład KS. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

z komentarzem podług ALLIOLI.

Wydanie ozdobione 230 drzeworytami wielkimi

podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

w wielkich dwóch tomach

Cena bezprzykładnie zniżona

Obecnie tylko Rub. sr. 21 — (dotychczasowa cena Rs. 32), z przesyłką Rs. 23.

W oprawie w płótno angielskie Rs. 27, z przesyłką Rs. 30.

W oprawie ozdobnej w płótno ang. ze skórzanym grzbietem Rs. 33, z przesyłką Rs. 36

TREŚĆ. Kobieta wobec rodziny męzowskiej, przez W. Podgórską. — Wystawa w Muzeum Przemysłowem, przez M. Hlnecką. — Ach jak mi smutno!..., poezja, przez M. I. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Czytelnia kobiet we Lwowie. — Mowa dziecka, przez Dra J. Starkmana. — Z Nicei. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika. — Przegląd mód. — 42 wzorów ubiorów robót wraz z opisem — *Sekrety gospodarskie*. — *Dyspozycją stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Ноябра 1886 года.